OPIEKUN DOMOWY

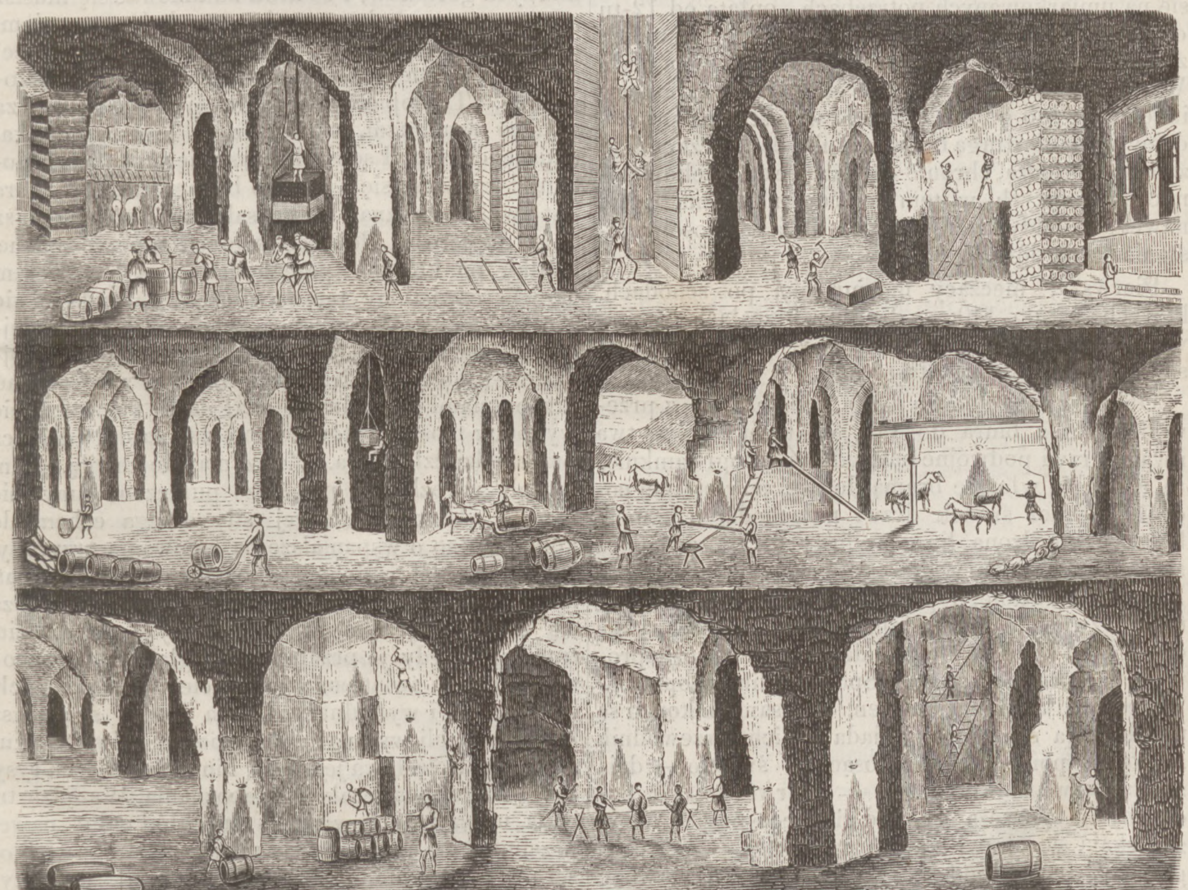
Warszawa dnia 16 (28) Sierpnia 1867 roku.

Nr 35. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

TREŚĆ.— Wieliczka, przez *J. K. Turskiego*, (z drzeworytem). — Westchnienie ojca rodziny do Boga, wiersz przez *Józefa Gluzińskiego*.— Samobójca, powieść karpacka, napisał *Wołody Skiba*, (ciąg dalszy—z drzeworytem).—List dziewiąty z podróży na wystawę paryzką, przez *Józefa Niepowie*.— Korrespondencja od Redakcji Opiekuna Domowego.

WIELICZKA.

Półtorej milki od Krakowa rozlega się pod ziemią urocza, czarująca, a przytem niezmiernie bogata kopalnia soli—obudzająca podziw i zdumienie każdego, kto tylko w jej przestronnych piętrach i komnatach był choć raz gościem. Po nad temi niewyczerpanemi skarbami, wznosi się małe miasteczko *Wieliczka*, liczące zaledwie cztery tysiące mieszkańców, mówiących po większej części językiem *galicyjskim*, to jest mięszaniną polskiego z niemieckim i oddającej się prawie wyłącznie górnictwu — zawodowi najodpowiedniejszemu miejscowości. Zamek, mieszczący w sobie urzędy górnicze, oraz klasztor OO. Bernardynów i kilka piętrowych kamienic w rynku — oto wszystkie osobliwości miasta, którego mieszkańcy dumnie stąpają po ostrym bruku niepozornych uliczek, czując pod nogami skarby i bogactwo, jakich pół świata może im pozazdrościć. Zamierzając tu wkrótce opisać ten świat podziemny, uczynimy to w ten sposób, ażeby zarazem mający kiedyś chęć zwidzić jego tajniki, mogli znaleść w tym opisie przewodnicze dla siebie wskazówki. W Krakowie będąc, łatwo bardzo do-



Saliny w Wieliczce.

stać się do Wieliczki. Godzina jazdy postawi cię na miejscu pożądanem, a zwidzanem przez Francuzów, Anglików, a nawet i Amerykanów. Wprawdzie są jeszcze i w Krakowie mieszkańcy tak obojętni, że choć już posiwieli a jeszcze nie widzieli Wieliczki. Pochodzi to z wrodzonej ludziom obojętności względem tego wszystkiego co mają pod nosem, — dopóki jakiś cudzoziemiec nie zwróci ich uwagi i nie obudzi spóźnionéj chęci.

— „A! to tu aż z Ameryki zjeżdżają — powie wtedy pan Wygodnicki z Krakowa—wiecie co moi państwo, możeby to i warto zobaczyć. Są tacy, ale o nich mniejsza. Inni z Krakowa znają skarby Wielickie i wielu z nich ślicznie opisało już to urocze podziemie.

Lecz wróćmy się do podróży. Stanąwszy w miasteczku Wieliczce— śpiesz się mój przyszły wędrowcze do zamku, do biura p. Komissarza, wydającego bilety na zwidzenie kopalń. Za bilet taki nic się nie płaci. Otrzymanie takowego zależy bezpośrednio od Zarządu górniczego. Z biletem w ręku udasz się potem do Zakładu górniczego, gdzie na wstępie, urzędnik miejscowy policzy twoje towarzystwo (bo pojedyńczo spuszczać się przykro i nieprzyjemnie) i zapyta się czy życzysz sobie światła, ogni, służby, maronów i t. p. przyborów. Ograniczywszy się na umiarkowanych potrzebach, opłata od 12-tu osób wyniesie nie więcej jak 50 złotych. Następnie zapiszesz nazwisko swoje w ogromną księgę gości Wielickich, między którymi co kartka napotkasz imię znane lub głośne. Po tem wszystkiem, przywdziewają na cię długą białą koszulę i dają ci czapeczkę zieloną górniczą, chronić cię mające od ścieków solnych plamistych w tem podziemiu solnem, gdzie nawet solą oddychać będziesz. Dwa są sposoby dostania się na dół.

Pierwszy, męczący niezmiernie: po schodach, których jest do 140; — drugi, w krzesłach sznurowych umieszczonych do koła liny, nierównie krótszy wygodniejszy i fantastyczny.

Obrawszy ten sposób drugi, udajesz się z przewodnikiem z biura do sali, w której zwrócą twą uwagę drzwi podwójne na środku podłogi zamknięte, a będące właśnie bramą do twej powietrznej podróży. Przez środek drzwi przechodzi u silnych belek utwierdzona lina średnicy 6 cali, zwijająca się na ruchomym walcu poruszanym za pomocą kieratu, obracanego parą koni. Gdy staniesz przy tych drzwiach, przewodnik daje znak — drzwi się otwierają i spód liny wychodzi po nad otwór, sprowadzający cię do kopalni. Spód ten liny zaopatrzony jest w dwa piętra siedzeń. Na samym końcu są trzy krzesła sznurowe, i siada w nich przewodnik z dwoma pomocnikami niosącymi światło — dają znak: drzwi się otwierają — pierwsza część podróżnych spuszcza się pod ziemię, a po nad niemi zamykają się drzwi znowu na chwilę — i na drugie siedzenia wchodzisz ty z twem towarzystwem. Jechać może naraz 6 osób. Każdy usiada na taśmie szerokiej, opiera się na podobnej poręczy i obiema rękami trzyma się dwóch lin, przymocowanych ostrokręgowo po nad głowami do środkowej głównej liny. Już siedzisz. Dają znak: znak krzyża świętego na drogę — drzwi się otwierają, spuszczają linę, słyszysz trzask zamykających się drzwi po nad tobą — i jedziesz, płyniesz, lecisz, jakby we śnie — ciemno, do koła przepaść pod nogami, nikłe światło przewódzcy miga się pod tobą jak błędny ognik mogilny, dziwisz się, wzruszasz, zachwycasz — a wtem w niespełna minuty zatrzymuje się twój pojazd powietrzno-podziemny.... jesteś w kopalni. Spojrzyj wtedy w górę a światło otwierających się drzwi nad tobą, wyda ci się maleńką gwiazdką na niebie. Droga przebyta prowadzi przez czworościenny spust zwany Studnią Daniłowiczowską, wyłożony drewnianemi ścianami, a o jego wysokości możesz mieć wyobrażenie dowiedziawszy się, że laska rzucona z góry ma siłę zabicia stojącego na dole. Dla tego też górnicy zabraniają po wyjściu z pojazdów sznurowych, przypatrywać się górnemu otworowi i nawet miejsce na dole ograniczone jest barjerami. Jesteś więc już w kopalni. Spoglądasz na swych towarzyszy: są wszyscy, zdrowi i weseli, wyglądają tylko jak duchy dantejskiego świata, o którym zresztą często tu sobie wspominać możesz — bo pełno tu znajdziesz poezji i prawdziwego uroku. Jesteś więc na pierwszem piętrze podziemnego mieszkania. Pod tobą sól, do koła sól, nad tobą sklepienie z soli. Przez korytarze z boku tu i owdzie podpierane *kasztami*, t. j. grubemi i mocnemi podporami skalnemi, przechodzisz po kładce drewnianej coraz głębiej na dół, prowadzony światłem kagańców niesionych przez młodych górników, i co krok zdumiewać się musisz ogromem tego solnego świata, w którym o ziemi i słońcu zapominasz. Po niedługiej wędrówce, dojdziesz do niezmiernej rozmiarami sali Michałowickiej. Tu dopiero podziw twój wybiega po za granicę wyobraźni, widzisz dzieło Twórcy upokarzające cię przed sobą, korzysz się przed Jego potęgą i szczycisz się z takiego bogactwa ziemi, która jest twoją ojczyzną. Z tej sali także spostrzegasz teraz dopiero te do ścian solnych poprzyczepiane kładki, po których przechodziłeś, a bengalskim ogniem oświetlony ten pawilon cały, wyda ci się istotnie czemś nie marzonem jeszcze i w najbujniejszych snach twojej fantazji. Pójdziesz dalej; pójdziemy głębiej na drugie piętro—oto widzisz: nad przepaściami ogromnych skał soli prowadzi cię wygodny most, z którego spojrzeć na dół dreszcz przechodzi człowieka. Zatrzymaj się chwilę. Tam w dali w rozległej pieczarze puszczono umyślnie *marona*. Huk piorunowej siły obiega echem do koła, trudno o wspanialsze naśladowanie przyrody! Idziesz głębiej i głębiej! Korytarze pośród ścian lub kładki obok tychże poprzyczepiane, prowadzą cię w nieprzejrzane okiem głębiny i przepaście, truchlejesz gdy je przebywszy oglądasz oświecone większem światłem — a przecież szedłeś po nich bezpiecznie i wygodnie. Tu na drodze spotykasz kaplicę: z soli wykuty ołtarz i posągi Świętej Kunegundy, Bolesława jej męża, i innych, których rysy czas i wilgoć poscierały do niepoznania. Wszędzie tu jakiś uroczy duch wieje — ten chłód solny nawet przejmuje cię uroczystością miejsca, którego wielkości nie poczuć nie możesz choćbyś chciał. Towarzyszący ci górnicy, głęboko z pobożnem uczuciem opowiadają ci o każdym szczególe tych świętych miejsc dla każdego górnika. Ukazują ci swych towarzyszy pracujących: to wożących taczkami sól świeżo wykutą—to kujących ze świeżych łomów, i widzisz ciężką pracę z wielkim trudem i mozołem połączoną, a ludzi przytem wesołych i śpiewających pobożne pieśni, oświeconych nieodłączonym od każdego kagankiem albo utkwionym w skale gdy

kują, lub zatkniętym na taczki gdy wożą; kujący większe łomy, dla mozołu pracy, obnażają się do połowy — zdrowi jednakże są wszyscy; i chociaż nie żyją zbyt długo, wcześniejszy ich skon nie pochodzi z atmosfery solnej i braku światła, ale jedynie z uciążliwości pracy. Co do atmosfery, to w kaplicach solnych tak jest zdrową, iż lekarze wysełają na dół chorych na płuca, którzy często z dobrym skutkiem odbywają tam swoją kuracją. O wszystkiem tem mówi ci twój przewodnik — twój ognik wiodący cię po tych pieczarach. Poznajesz wtedy, że lud miejscowy serdecznie przywiązany jest do miejsca, w którem się urodził i wychował, chwali on Wieliczkę, kocha saliny i nie lubi takich, co sobie żarcikami lekceważą święty dla niego przybytek. Wiara głęboko jest zaszczepiona w sercach górników. Mniej oświeceni hołdują nadto różnym gusłom i przesądom, w skutek których np. nie pozwalają ci gwizdać w kopalni, aby nie zbudzić *złego ducha podziemnego* czychającego na nieszczęście człowieka. Idąc tak dalej i dalej, gdy tysiące myśli poetycznych rodzi się w twej duszy, zwidzasz piętro po piętrze, których już dzisiaj jest cztery.

Po drodze zwraca szczególniej twą uwagę staw solny, po którym swobodnie na *promie* przepływasz przy odgłosie salw i w świetle bengalskiego ognia; następnie sala tak zwana *Letów*, w której sztuka zatarła ostre łomy przyrody i pracowitą ręką przygotowała ci spoczynek i rozrywkę światową. Masz tu i podłogę rzuconą na równy pokład soli i ściany drewniane i galerję dla muzyki i ławki do koła i transparent oświetlany w dniach uroczystości górniczych lub odwidzin dostojnych gości. Masz i posągi rzeźbione ze soli w bardzo dobrym zachowane stanie, a przedstawiające myty greckich ideałów — w ogóle masz sale balową rzęsisto oświetloną światłem kilku żyrandoli u drewnianego sufitu wiszących. W uroczystości górnicze, gdy liczba zwidzających saliny dochodzi 300 — 500 osób, odbywają się na tej sali wesołe tańce i zabawy, wśród których rzęsisto palące się światła, silą się na zastąpienie nie zaglądającego tu nigdy słońca. Jeżeli nie trafisz na taką uroczystość, to spocząwszy na sali balowej, możesz się dowiedzieć za to o pracach górników Wielickich, o których uprzejmy przewodik opowiada ci z ochotą. Dowiesz się więc, że sposób dobywania soli jest bardzo prosty. Wybiera się sól jak kamień z łomu. W ten sposób wykuto najprzód tak zwane *studnie* czyli *szyby*, któremi spuszczają się robotnicy z powierzchni na pierwsze piętro i z tego na inne głębsze, następnie wyrabiają się *chodniki* czyli *piece*, tworzące przejścia z miejsca na miejsce na jednem piętrze. Dla utrzymania sklepień stawiają *kaszty* czyli podpory *skalne*, służące także do podstęplowania ścian bocznych. Górnicy Wieliccy dzielą się między sobą na piecowych, kopaczów, kruchowych, wozaczów, szybowych, bednarzów, kowalów i stajennych. *Piecowi* wyrabiają chodniki za pomocą prochu, przez świdrowanie dziur i wysadzanie skał. *Kopacze* obrabiają sól w kształty zwane bałwanami, zapomocą spiczaka żelaznego. Kruchowi obrabiają sól w kruchy, czyli czworograniaste kawały. Wozacze rozwożą sól taczkami i wózkami; dziś ta czynność odbywa się nierównie prędzej na wielkich wozach po kolejach żelaznych, poprowadzonych w różnych kierunkach. Szybowi wydają sól na wierzch przez szyby. Reszta robotników mają zatrudnienia odpowiednie swym rzemiosłom.

Wszystkich robotników wraz z dozorcami jest do 900,—ci co noc wracają na ziemię, kilku tylko po zostaje na dole do pilnowania koni. Dochody z salin przedstawiają znakomite liczby. Za Rzeczypospolitej Krakowskiej wydobywano rocznie 600,000 centnarów soli—obecnie zaś pod Rządem Austryackim wydobywają rocznie 800,000 centnarów wiedeńskich. Język administracyjny jest niemiecki techniczne nazwy także niemieckie, równie jak i nazwy sal, przejść i szybów główniejszych. Szyb Franciszka Józefa, cesarza austryjackiego, który własnoręcznie rozpoczął jego robotę, ozdobiony bramą tryumfalną, nosi napis z niemieckiem górniczem pozdrowieniem: *Glück auf!* (Szczęść Boże). Wypocząwszy zwrócisz się znowu po wyjściu z sali w inne podobnież urocze sale i pieczary, a zwiedziwszy wszystko na co potrzeba czasu najmniej 2 godziny, zbliżysz się znowu pod ową studnię Daniłowiłoczowską, w którą po ciebie spuszczą znajome ci już pojazdy i pojedziesz do góry, a za 5 minut wysiądziesz na ziemię i ujrzysz światło słońca i odetchniesz całą piersią, witając się z ukochanem powietrzem i ziemią, a wrażenie z swej podróży podziemnéj zostanie ci na długo w pamięci, odnawiając się często we wspomnieniach, jak piękny i fantastyczny sen. Pierwsze odkrycie soli w Wieliczce, przypisuje podanie znanej powszechnie legędzie, ułożonej wierszem przez Adama Górczyńskiego p: t: *Wiano Królewnej.* Kinga miała odkryć sól, aby nią zbogacić kraj i swój posag królewski. Dzieje atoli dowodzą, że jeszcze na lat kilkadziedziesiąt przed tem, Benedyktyni na Tyńcu i Cystersi w Mogile, pobierali dochody ze soli Wielickiej. W połowie XIV w. wydano pierwsze urządzenia dla tej kopalni i one przetrwały aż do Augusta II, który biegłym górnikom saskim oddał dozór i zarząd Wieliczki. Z powodu używanego drzewa do kaszt i stęplów, zdarzały się pożary w kopalniach. Najpamiętniejsze były: 1510 roku, pożar ten przytłumiony został odwagą Żupnika nazwiskiem *Kościeleckiego.* Drugi był roku 1644 daleko nieszczęśliwszy, w którym większa część robotników poginęła, i po którym przez cały rok następny buchające z głębi kopalni szkodliwe wyziewy, wszelki wstęp do niej uniemożebniały.

Kopalnie Wieliczki rozciągają się na 4,500 stóp długości i 1,500 szerokości (według dawniejszego pomiaru); głębokość największa dochodzi do 800 stóp.

J. K. Turski.

Westchnienia ojca rodziny do Boga.

Z pośmiertnych rękopismów.

Boże! Tyś natchnął miłością świat cały,
Twoją Wszechmocność stworzenia uznały;.
Pomnażaj miłość Twą w każdej godzinie,
W mojej rodzinie!

Niechaj się modli w szczęściu lub niedoli,
Według Chrystusa przenajświętszej woli,
Krótką modlitwą a nad wszystko świętą
Przez nas pojętą!

Ojcze nasz któryś na wysokiem niebie!
Bądź z nami zawsze bo też nic bez Ciebie

Nic nie poradzim i nic nie poczniemy,
Jak sami chcemy!

Niechaj się zawsze Twoje Imię święci!
I w sercach naszych i w naszej pamięci,
I niech to Imię, zawsze będąc z nami,
Świeci łaskami!

Niech Twe królestwo na ziemi osiędzie,
Niech nam Bóg ojcem wraz i Panem będzie,
O to cię Boże serdecznie błagamy,
Ile sił mamy!

Bądź wola Twoja w Niebie i na ziemi,
Niech idzie górą nad nami wszystkiemi,
A my się zgadzać będziemy w potrzebie
Z Ojcem na Niebie!

Udziel nam Boże chleba powszedniego,
Tak jak potrzeba u nas dla każdego,
Niech łaska Twoja co nad nami świeci,
Pokarmi dzieci!

Odpuść nam Boże wszelkie nasze winy,
Czy bez przyczyny czyli też z przyczyny,
Jakieśmy przeciw Tobie popełnili,
I obrazili!

Wszak i my naszym winnym odpuszczamy,
A od dziś żalu nic nie zostawiamy,
Więc też miej litość i przyjmij wołanie,
Odpuść nam Panie!

Nie dozwól kusić siebie przez złość ducha,
Niech młodszy, starszych rad i nauk słucha,
Co starsi ludzie mają z doświadczenia,
Dla ich zbawienia!

I zbaw nas Panie odewszego złego,
Nam samym trudno uniknąć od niego,
Prostuj kiedy kto na złą drogę zbacza,
Niech nie wykracza!

Amen! mój Boże, mój Ojcze, mój Panie!
O co Cię prosim, to niechaj się stanie!
Bądź w tem łaskawym i dla nas pomocą,
I dniem i nocą!

Niechaj te prośby przebiją niebiosa,
Twej Opatrzności niechaj spadnie rosa;
Błogosław Boże wielki! mej rodzinie,
W każdej godzinie!

Józef Gluziński.

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(*Ciąg dalszy*, Patrz Nr. 34).

Już słońce zaszło od godziny i zmierzch na dobre okrywać zaczął góry, a Mrożek nie przebudził się jeszcze. Po trzech nocach prawie bez snu spędzonych, uczuwszy się bezpieczniejszym niż był poprzednio, wmówiwszy w siebie że może być spokojnym i że mu nic nie zagraża, spać mógł i musiał snem kamiennym bez poruszenia. Dopiero o zmierzchu pojedyncze władze jego umysłu budzić się zaczęły powoli, choć ciało zasypiało jeszcze.

Na twarzy śpiącego czytaćby było można wszystkie sceny dramatu, jaki z nim we śnie odgrywać musiała najczujniejsza i najpierw ze snu budząca się władza umysłu ludzkiego —wyobraźnia. Twarz jego przybierała kolejno wyrazy przerażenia, boleści, gniewu, rozpaczy. Walka jakaś wewnętrzna miotała nim długo.

Nareszcie poruszył się śniąc zapewne, że wydziera się komuś, bo szarpnął rękami i zacisnął je konwulsyjnie.

Podczas tego ruchu, zaczął wymawiać ledwie zrozumiale:

— Kto powiedział Mrożek?.... czego chcecie odemnie?... precz!.... ja mam paszport... jestem Jan Świt....

Pamięć śpiącego rozbudziła się ostatecznie i powróciwszy do jej używania, otworzył oczy.

— Djabli nadali te przeklęte sny — rzekł przecierając powieki.

Nie długo przecież zastanawiał się nad tem co prześnił, zbliżająca się noc naturalnie całą jego uwagę zająć musiała.

— Do licha!... spałem za długo — zawołał, — kto wié czy się dziś na noc dostanę pod jaki dach ludzki. Złażąc z góry po księżycu, można kark skręcić jeszcze łatwiej niż w dzień. Zresztą i księżyc nie będzie mi służył przez całą noc. Spieszmy się. Jest to ostatni kawałek drogi, który przejść muszę piechotą. Później nie głupim!... Jan Swit ma papiery w porządku; może podróżować jak ludzie.

Korzystając z reszty dnia i z nabranych na nowo sił, puścił się Mrożek w dalszą drogę, kierując się ku dołowi.

A droga to była niełatwa, jak wszystkie w ogólności drogi po górach, które pracą ludzką dla komunikacji wytkniętemi i udogodnionemi nie zostały. Są to w ogóle drogi odkryć i niespodzianek przyjemnych niekiedy dla oka, ale bardzo rzadko pożądanych dla nóg. Zdaje ci się naprzykład, że możesz iść prosto i idziesz, ale wpołowie drogi napotykasz na rozpadlinę w ziemi, która o pięćdziesiąt kroków jeszcze wydawała się jak wązka czarna linja, wężykiem się wijąca daleko. Sądziłeś że nic nie będzie łatwiejszego, jak przeskoczyć przez tę maleńką szparę, która ci przecinała drogę, lub przez ten sznurek grubego cienia, którym podobało się Przyrodzie urozmaicić jednostajność stoku. Przychodzisz bliżej i cofasz się, o kroków parę, bo ci się zawróciło w głowie. Ów wężyk, ów ciemny prążek, ma kilkadziesiąt łokci szerokości i ciągnie się bez końca na prawo i wlewo. Chcąc go przebyć wypadałoby się spuścić w głębią, z której tylko słychać głuchy szmer potoku co sobie wyrył to łożysko do biegu... potem przebyć potok, którego głębi nikt jeszcze nie mierzył.... potem wdrapać się znowu na górę, po spadzistości prostopadłej prawie. Chcąc go obejść z jednej lub z drugiej strony musiałbyś nadłożyć kawał drogi, o którego wielkości wyobrażenia nawet mieć nie możesz.

Dodajmy do takich niespodzianek noc, a będziemy mieli wyobrażenie o tem czem była droga, którą się puszczał Mrożek, przekonany że po raz ostatni w życiu nieznanemi ścieżkami błąka się po górach. Była to droga błędna w całem znaczeniu tego wyrazu. Klął co chwila, stawać musiał co kwadrans, co pół godziny prawie zmieniał kierunek, sądząc że natrafił na lepszy; przebył może kilka godzin takiej męczarni, ciągle na pochyłości, ciągle niepewny gdzie się zwróci i już miał dać za wygraną, położyć się aby doczekać rana zdecydowany przecierpieć chłód i wilgoć, gdy z daleka na pewnej wyniosłości ukazało mu się małe świa-

tełko, do którego całem wysileniem na jakie stać go było jeszcze, dostać się postanowił jak najprędzej.

Ażeby tego dopiąć, trzeba się było zwrócić znacznie od kierunku, który obrał pierwotnie i iść dalej nieco pod górę w stronę jednego z wierzchołków gór otaczających tę, którą przebył. Nie widząc dokładnie gdzie się znajdował i kierując się głównie instynktem, Mrożek z łatwością zdecydował się na tę zmianę, która jego drodze wskazywała zamiast celu nieokreślonego, cel wyraźny chociaż daleki.

— Gdzie jest ogień —myślał, —muszą być ludzie, a tam na dole gdziem iść myślał, możebym nie tak łatwo do jakiej wsi trafił. Chodźmy tedy do ludzi... nie ma się czego obawiać.... papiery mam w porządku... jestem Jan Świt.

Od czasu do czasu w ciągu drogi Mrożek powtarzał sobie, że ma papiery w porządku i przypominał swoje nowe nazwisko, jakby się bał o niem zapomnieć.

Droga w nowym kierunku była cokolwiek lepszą od poprzedniej. Mrożek widział ciągle przed sobą światło, które nawet chociaż bardzo powolnie, rosnąć się zdawało w jego oczach, to mu dodawało otuchy, że przybędzie na miejsce niedługo, a z nadzieją nowych sił mu przybywało.

Było już po północy zapewne, kiedy księżyc który dotąd ciągle blaskiem pełni oświecał mu drogę, ukrył się za górą i gruba ciemność go otoczyła. Światło, które mu wskazywało kierunek stało się w ciemności czerwieńszem, a znajdowało się już tak blisko, że Mrożek mógł rozpoznać iż pochodziło z ogniska rozłożonego pewnie przez górskich pasterzy.

— Morzem przepłynął, więc na Dunajcu nie utonę — powiedział sobie i szedł dalej powoli i ostrożnie, kijem probując każdego miejsca na które miał stąpić.

Droga odbywana tym sposobem prawdziwie po omacku, była tak dalece utrudzająca, że pomimo iż przeszkód nie napotykał i do ogniska zbliżał się widocznie, zaczynał wątpić czy mu sił wystarczy i rozmową z samym sobą chciał sobie dodawać energji.

— Wstyd ustawać o sto kroków od miejsca do którego się idzie.... dalej panie Mr... Zawsze ten Mrożek mi na myśli!... Dalej panie Janie, kwadrans jeszcze, a potem będziesz spał pod dachem, albo przynajmniej ogrzejesz się przy ognisku i wyciągniesz na miękkiej trawie..... Kwadrans jeszcze....

Wkrótce przekonał się Mrożek, że nie tak łatwo znużenie zwyciężyć rozumowaniem, i zaczął z niem wchodzić w tranzakcję.

— No, daję sobie słowo, że jeszcze ujdę tysiąc kroków, ani jednego więcej ani mniej... Jeżeli tego będzie zamało, położę się i doleżę do rana. Będę rachował.... tym sposobem łatwiej zabiję czas.

I zaczął liczyć; a po sposobie jakim szedł domyśleć się można, że nim doliczył do tysiąca upłynąć musiało najmniej pół-godziny — czas który w jego położeniu równał się prawie wieczności.

— Tysiąc — dorachował nareszcie, — ogień tak blisko, grzechem byłoby stawać. Jeszcze pięćset, pięćset tylko, ani jednego więcej. Daję sobie najuroczystsze słowo.

Szedł dalej niezatrzymując się. Żelazną wolą chciał oszukać ciało, które nie było z żelaza i na przebycie tych pięciuset kroków potrzebowało może więcej czasu niż na tysiąc poprzedni. Mimo to Mrożek szedł bezustanku i pofolgować znużeniu nie myślał. Rachował głośno, chcąc dźwiękiem liczb co raz bardziej do pięciuset się zbliżających, nawet myśl o strudzeniu odpędzić od siebie.

— Czterysta siedmdziesiąt.... jeszcze trzydzieści — rachował dysząc już ledwie — liczmy dalej do jednego, bo mi tchu zbraknie.... dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia ośm.... A!...

Tu przerwać sobie musiał. Kij, którym próbował każdego miejsca na które miał stąpić, nie napotkał oporu i Mrożek posunąwszy go niezbyt ostrożnie pochylił się, zachwiał i mało nie spadł w przepaść.

— Do djabła! otchłań jakaś — rzekł prostując się, — śpieszę się za bardzo i gotów jestem jeszcze wpaść do jakiej dziury... Za karę panie Janie zrobić musisz sto kroków więcej. Kierujmy się cokolwiek w lewo.

I szedł dalej rachując znowu.

— Sto dwadzieścia, siedm, sto dwadzieścia sześć... sto dwadzieścia cztery... sto dwadzieścia jeden... O!...

Nowy ten wykrzyknik wywołała taż sama przyczyna co poprzedni. Pomimo zmiany kierunku, kij Mrożka znowu nie napotkał oporu.

— Znajduję się na wązkim skrawku ziemi pomiędzy dwiema przepaściami — pomyślał przerażony, — piekło!... noc czarna... ogień i ludzie niedaleko... gdybym krzyczał możeby usłyszeli... nie! krzyczeć jeszcze nie będę... idźmy dalej... podwojona ostróżność... sto piędziesiąt jeden... sto piędziesiąt dwa... sto piędziesiąt cztery....

W przerażeniu Mrożek omylił się w rachubie i zamiast odejmować zaczął dodawać, nie zwrócił jednak na to uwagi i liczył bez myśli, myśl bowiem całkiem zajęta była niebezpieczeństwem, które na nowo ożywiło jego bliskie już zupełnego wyczerpania siły.

Uszedł tak jeszcze kilkanaście kroków powolniej niż poprzednio, za każdem bowiem stąpnięciem po kilka razy próbował kijem, czy nie natrafia na nową przepaść.

Po pewnym czasie kij, którym próbował drogi raz jeszcze nie natrafił na opór.

— Stój! — rzekł do siebie Mrożek, — nie ma innego ratunku jak zostać tu albo powracać... Dostałem się na jakieś wzgórze dokoła otoczone przepaścią.... Jeden krok dalej, a byłoby po mnie!.... Szatani mnie prowadzili, nikt inny... Cofać się, czy pozostać?... Jeżeli się cofnę, to kark skręce najniezawodniej, nie ma zatem wyboru, zostać muszę. Co za przeklęcie ciemna noc w tych górach..... Ogień tak blisko..... ludzie.... gdybym krzyczał...

I ryknął głosem jak mógł najpotężniejszym:

— Ludzie!... ratunku!...

Echa gór okolicznych pochwyciły i po kilkakroć coraz słabiej powtórzyły jego okrzyk.

Mrożka przeszedł dreszcz zimny. W ciągu całej swojej podróży ani razu mu na myśl nieprzyszło przysłuchać się odgłosom górskiego echa. Zbyt wiele miał powodów sprawiania się cicho. Przeląkł się głosów które go dobiegły, trwoga nie pozwalała mu zbadać ich naturalnej przyczyny.

Najcichszą myślą szepnął sobie:

— Słyszą mnie!.... ludzi pełno do koła... jestem zgubiony!...

Wpatrzył się całem wytężeniem wzroku w ogień, do którego wprzód dążył i zadrżał. Zdawało mu się, że jakieś cienie poruszają się koło ogniska.

— Ukryjmy się... gotowi mnie tu znaleźć...

Niepojęty przestrach go ogarnął. Czego się bał nie wiedział, uczucie trwogi było tak wielkiem, że nie dopuszczało rozumowania. Drżał jak listek. Pochylił się w obawie by go nie ujrzano, usiadł następnie i patrzył w ciemność, nie widział nic a więc nie mógł być widzianym, lecz tego niepojmował. Zdawało mu się że i tak nie jest bezpiecznym. Usiadł na miejscu w którem stał, ale i to uważał za niedostateczne, zaryłby się w ziemię gdyby mógł, — nie mogąc tego uczynić chciał się położyć, przycisnąć jak najbardziej do urwiska na którem się znajdował, lecz gdy to uczynił, głowa jego natrafiła na tak niespodziewane posłanie, że się zerwał w mgnieniu oka na równe nogi.....

— Człowiek!... — zawołał, — to być nie może... ja śpię chyba. To sen!....

Gwałtownie tarł ręką czoło, lecz sen mniemany nie ustępował.

Długą chwilę pozostał na miejscu niewiedząc co począć. Nareszcie chwycił się przypuszczenia, że go przestrach złudził.

Kiedy w przerażeniu dochodzącem do szczytu człowiek jest z dolnym zrobić podobne przypuszczenie, jest to znak, że trwoga się przesiliła i że mu odwaga powraca.

Mrożek to czuł; zaczynał pojmować niedorzeczność swego przestrachu. Coś mu mówiło, że niebezpieczeństwo choćby nawet istniało, nie jest tak bliskiem żeby go jeszcze uniknąć niebyło można. Chwilowy namysł zaczął go uspakajać nieco.

— Strach próżny nic nie pomoże — rzekł do siebie, — trzeba wprzód sprawdzić co mi grozi.... Człowiek?... zkądby się tutaj wziął, a gdyby to był nawet człowiek to przecież pozbyć go się można... Zobaczmy.

Schylił się nad miejscem, w którem przed chwilą chciał się położyć i zaczął słuchać.

— Nie słychać oddechu — myślał, — albom się złudził, albo jest to ktoś taki co się już nigdy nie obudzi. Może też się przyczaił tylko tak i śpi. Trzeba się decydować na jedno. Dotknę się go a jeśli drgnie, nim się poruszyć zdoła zepchnę go ze skały.

Dotknął ręką tego co mu się wydawało człowiekiem. Za dotknięciem uczuł znowu ubranie męzkie, nie było więc prawie wątpliwości że tam był człowiek, ale ten człowiek nie oddychał i nie poruszał się wcale. Ośmielony tem Mrożek zaczął bardziej naciskać ręką. Ciało było sztywne, stężałe.

Mrożek uczuł, że go pot zimny oblewa.

— Trup!... czyj?.... — zapytał siebie w myśli.

Czyj?.... pytania tego zadaćby sobie nie mógł gdyby nie wiedział, że podobnież na urwisku przed połową doby zaledwie, zostawił także trupa, którego sądził że już nigdy nie zobaczy na jawie; — trupa o którym chciał zapomnieć, z którym chciał nietylko swoją zbrodnię, lecz i całą swoją przeszłość zostawić daleko za sobą.

Owo: „czyj?" w myśli Mrożka znaczyło tyle co „on!?"

Długo nie śmiał go dotknąć znowu, nie śmiał myśleć więcej. Po pewnym czasie jednak myśl wrócić musiała. Położenie Mrożka wtenczas dopiero stałoby się najniebezpieczniejszem, gdyby domysł jego był prawdziwy, w takim bowiem razie niepodobna była czekać do rana. Widział, że lepiej narażać się sto razy na śmierć niż zostać przy tych zwłokach, na które z taką zuchwałością zbrodni w biały dzień spoglądał. Koniecznością było rozwiązać straszną wątpliwość.

— Fatalność mnie ściga — myślał, — ale wtedy dopiero będę zmuszony jej uledz i zginę, jeśli ostatniej szansy ucieczki od niej nie spróbuje. Jeśli mnie szatan nazad do niego przyprowadził, jeżeli błądząc po nocy i co chwila zmuszony zmieniać kierunek, powróciłem inną drogą tam zkąd ujść chciałem, trzeba próbować uciec jeszcze raz. Uda się... dobrze, a nie.... to niechże djabeł co na mnie czycha, zabierze mnie sobie. Tyle głupim nie będę, żebym nie wyczerpał wszystkich sposobności wymknięcia mu się. Ten trup jeśli jest jego trupem, posłuży mi za drogowskaz.....

Zebrawszy całą przytomność myśli, całą krew zimną, jaką ogrom niebezpieczeństwa zebrać mu pozwolił — Mrożek pochylił się znów nad martwem ciałem, pragnąc mu się przyjrzeć w ciemności.

Cień rzucany przez góry zbyt grubą pomroką okrywał zwłoki, ażeby oczy przebić mogły tę zasłonę.

— Nie dojrzę nic — pomyślał Mrożek, — lecz zawsze poznać można czy to one. Do kieszeni włożyłem mu papiery, które rozpoznam łatwo za dotknięciem. Trzeba ich szukać.

Ten sposób sprawdzenia był niemylny. Mrożek wkrótce przekonał się, że los go zaprowadził nad jego własną ofiarę.

— Może to lepiej, żem tu przyszedł — rzekł do siebie po chwili, gdy niesłychanem wysileniem rozumu zdołał owładnąć piekłem, co mu wrzało w piersi i o wszystkich jego męczarniach zapomnieć — teraz przynajmniej wiem gdzie jestem... szatan mnie proteguje chyba. (*Dalszy ciąg nastąpi*).

Listy z podróży na wystawę paryzką.

IX.

Paryż, *10 Sierpnia 1867.*

Nie chciałoby się wierzyć, gdyby się nie nastręczała codzienna sposobność przekonania się o tem, że najpierwsza prawie i najdawniejsza ze wszystkich gałąź przemysłu, współczesna młynarstwu i rodzona jego siostra, zostaje dotąd w stanie pierwotnej nieledwie dzikości — możnaby nawet powiedzieć barbarzyństwa. Nasi piekarze gotowiby się obrazić, że tak się wyrażam o piekarstwie, ale ja nie mówię w szczególności o piekarzach naszych, lecz o wszyslkich w ogóle na całym świecie. Wejdźmy w jakiembądź mieście, które jest jednem z ognisk przemysłu, a nawet w Paryżu który jest stolicą świata, do jednej z najzawołańszych piekarń, a przekonamy się, że czynność pieczenia chleba jakkolwiek powtarzana nieustannie od czterech lub pięciu tysięcy lat, nie zrobiła żadnego a żadnego postępu, żadna z towarzyszących jej niedogodności nie została usunięta. W drugiej połowie dziewiętnastego wieku rozczynianie chleba i robienie ciasta jest jeszcze jedną z najprzykrzejszych robót: trzeba ugniatać rękami kleistą massę, obracać ją i przewracać z wysileniem, przerzucać pięć do sześciu razy. Z tego powodu piekarczyk zajęty tą pracą, dostał we Francji nazwisko charakterystyczne *geindre*, który to wyraz znaczy stękać nad robotą, kawęczyć,

ponieważ zmęczenie zmusza go często do mimowolnego stęknięcia. Po ukończeniu pracy, która odbywa się w godzinach nocnych, inne czekają go cierpienia: podczas roboty nałykał się tyle drobniutkiego mącznego kurzu, że najczęściej dostaje kaszlu, niekiedy nawet bardzo upartego.

Samo pieczenie chleba jest jeszcze okropniejszem. Kładzie się drzewo do pieca, a gdy się spali na węgiel i popiół, przesuwa się żar ku otworowi. Następnie robi się coś podobnego do oczyszczania i mycia czeluści pieca, która to czynność nigdy nie jest a nawet nie może być uskuteczniona dokładnie ręką ludzką, potem zaś przystępuje się do wsadzania chleba do pieca. Robotnik kładzie ciasto na małej desce drewnianej z bardzo długą rękojeścią, potem z okiem wlepionemi w głąb' pieca, którego żar pali mu twarz i oczy, szuka miejsca na którem mógłby położyć bochenek o ile możności tak, żeby nie dotykał sąsiednich. Cóż to za przykra i uciążliwa praca!... Trzebaż się dziwić że robotnicy piekarscy tak często zapadają na zapalenie płuc, na pleurę i na inne ohoroby piersiowe? albo że w gorączkowych uciechach nieporządnego życia, szukają pociechy po pracach marnujących zdrowie i przechodzących siły człowieka?...

Gdyby przynajmniej chleb wypieczony w ten sposób był czystym i dobrym, gdyby można było wiedzieć na pewno, że się zawsze uda, że dzisiaj będzie taki jak był wczoraj, a jutro taki jak był dzisiaj,—ale gdzie tam! Z pieca wychodzi powalany u spodu popiołem, ukameryzowany kawałkami węgla, raz wypieczony lepiej, drugi raz gorzej, jak o tem codzień każdy ma sposobność się przekonać.

Pierwszym krokiem do zrobienia na drodze postępu w piekarstwie było wynalezienie dzieży mechanicznej, któraby sama rozczyniała ciasto i wprowadzenie jej w użycie powszechne. Po próbach kilku innych wynalazców, uczuł także tę potrzebę p. Boland, piekarz francuzki. Przyrząd wynaleziony przez niego, a udoskonalony później przez jego syna, używanym jest w wielu piekarniach wzorowych, a mianowicie w piekarni miasta Paryża na *place Scipion*.

Następnie p. Rolland, również piekarz francuzki, zamierzył zrobić zupełny przewrót w piekarstwie, nie tylko bowiem obmyślił i zaproponował dzieżę mechaniczną, łatwiejszą do poruszania i pod wieloma względami lepszą od dzieży p. Bolanda, ale nadto wynalazł piec o obracającym się spodzie, w którym pieczywo chleba może się odbywać bez przerwy, co dotąd było niepodobnem.

W raporcie złożonym akademji nauk o wynalazkach p. Rollanda, p. Payen sprawozdawca powiada, że te wynalazki rozwiązują następujące zadania, będące celem wszystkich ulepszeń w piekarstwie:

1) Rozczynianie czyste i zdrowe, regularne i odbywające się w ciszy, za pomocą dzieży mechanicznej prostej i niekosztownej;

2) Wsadzanie i wyjmowanie z pieca łatwe, przy pomocy narzędzi krótszych i łatwiejszych w użyciu;

3) Możność użycia wszelkiego materjału opałowego;

4) Znaczną oszczędność w kosztach opału;

5) Usunięcie potrzeby tyle przykrego oczyszczania ogniska po każdem pieczywie;

6) Pieczenie regularne, bardzo łatwe do kierowania i prawie nieustanne, można mieć bowiem 18 do 20 pieczyw dziennie;

7) Sprzątanie mechaniczne węgla, usuwające szkodliwy dla zdrowia robotników wpływ wydzielania się i promieniowania cieplika;

8) Nakoniec produkcją chleba wolnego od wszelkich śladów popiołu węgla, i t. p., jednem słowem, chleba zawsze w bardzo dobrym gatunku, pięknego na oko i doskonale czystego.

Wynalazki p. Rollanda miały pewne powodzenie tak dalece, że dochodem jaki mu przyniosły zapewniły mu byt wygodny i niezależny, lecz piec o obracającym się spodzie tak doskonały w teorji, musiał w praktyce przedstawiać niemałe niedogodności, bo przynajmniej w Paryżu niebardzo się upowszechnił i znajduje się tylko w kilku tak zwanych *pâtisseries*, to jest piekarniach ciastek.

Z powodu tych niedogodności pp. Lebaudy i Landry, pragnąc posunąć przemysł piekarski i urządzając piekarnią, musieli się wyrzec pieca o spodzie ruchomym i przyjęli piec p. Drouot, któren był również jak i poprzedni wynalazcy, jednym z piekarzy paryzkich. Piec ten podobnym jest do ogólnie przyjętego piekarskiego pieca: z płaskim spodem i przypłaszczonem sklepieniem, tylko dwa kanały przeznaczone do odprowadzania dymu do komina są większych rozmiarów. W objaśnienia techniczne sposobu opalania tego pieca, za pomocą którego również można otrzymywać pieczywa w bardzo krótkim czasie jedno po drugiem, wchodzić tutaj nie mogę, nie byłoby to bowiem ciekawe dla większej części czytelników. Dość, że piec wynalazku p. Drouot, znawcy uznają za odpowiadający wszystkim warunkom dobrego piekarskiego pieca.

Maszyna do rozczyniania mąki na chleb tegoż wynalazcy, zaprowadzona także w piekarni p. Lebaudy, podobnież zyskuje pochwały znawców. Przy jej pomocy ciasto w 10 do 12 minut jest gotowe, i trzech tylko robotników potrzeba do przerobienia w ciągu dnia na chleb ośmiu worków mąki, gdy bez pomocy maszyny ciż sami ludzie w tych samych okolicznościach, mogliby zrobić zaledwie połowę tej roboty.

Łatwo byłoby obliczyć, że gdyby mechanizm używany przez p. Lebaudy zaprowadzić we wszystkich piekarniach paryzkich, sama oszczędność w pracy ręcznej otrzymana tym sposobem, wyniosłaby przynajmniej siedm miljonów franków rocznie. Ile przytem zyskałoby zdrowie publiczne, na to zdaje się przedewszystkiem należałoby zwrócić uwagę i to powinnoby być bodźcem do postępu silniejszym jeszcze, niż znaczna korzyść materjalna.

Lecz dosyć już o piekarstwie, które mi zajęło większą połowę tego listu. Przejdźmy do innego przedmiotu, korzystając z łatwosci z jaką na wystawie powszechnej odbywać można podróże z jednego końca świata na drugi i urozmaicać studja, przechodzac od jednej gałęzi przemysłu do innej niemającą z tamtą nic wspólnego.

Wzrastająca bez ustanku konsumcja papieru doszła do tego, że zaczął się okazywać brak materjału do jego wyrobu. Cena gałganów wzrosła tak dalece, że przemysłowcy angielscy nie wahali się zaproponować wice-królowi Egiptu, żeby im sprzedał wszystkie powijaki mumij znajdujących się w sarkofagach tego kraju, dla przerobienia ich na papier.

Gdy mi pan Paweł powiedział o tym projekcie, parsknąłem ogromnym śmiechem, biorąc go za nowy jego żarcik z mojej nieświadomości i nie uwierzyłem dopóty, aż mi pokazał jeden dziennik, w którym z całą powagą naukową opisane były próby odbyte w Anglji w r. 1847, przerabiania powijaków mumij na papier, które wypadły najpomyślniej. W tymże dzienniku znajdowało się przybliżone, a mojem zdaniem przesadzone niezmiernie obliczenie, że we wszystkich grobowcach egipskich znajduje się najmniej dwadzieścia miljonów cetnarów tego materjału.

Jeżeli w istocie zapas jest tak ogromny, a brak gałganów nie zostanie skutecznie zastąpionym przez inny produkt dający się przerabiać na papier, to można przewidywać, że jeżeli nie dziś, to kiedyś przyjść będzie musiało do tej na wielką skalę profanacij prochów starożytnych Egipcjan. Należy jednak się spodziewać że tak źle nie będzie. Przekonano się, że papier da się wyrabiać z mnóstwa rzeczy,

których nie potrzeba szukać w głębi piramid. Wystawa jest tego świeżym dowodem.

Nie mówiąc o innych krajach, z samej Francji kilku papierników wystawiło papier robiony nie z gałganów. Wystawy p. Caminade z Orleanu wyrabiającego papier z korzeni lucerny, p. Augusta Delaye z Ciepols w południowej Francji, którego fabrykuje z drzewa — są bardzo



Opryszek Karpacki.

ciekawe, ale najciekawszą niezawodnie pod tym względem jest wystawa p. Eugieniusza Pavy. Nie przyciąga ona oka wytwornością i elegancją, dla ludzi jednak lubiących studjować skutki doświadczeń naukowych na drodze przemysłu, jest przedmiotem niemałego zajęcia. Są tu okazy papieru wyrobionego z china-grass, z ryżu, ze słomy pszennej, owsianej i żytniej, z łodyg gorczycy, rzepaku, maku, z trzciny, z kory drzewnej, z gnoju, z szczątków roślinnych i nie wiem z czego jeszcze. Z odpadków tych rozmaitych materij surowych, po przerobieniu ich na papier, p. Pavy robi nawóz który znalazł zastosowanie w rolnictwie.

Spodziewać się należy, że mając pod ręką tyle rozmaitych przedmiotów mogących zastąpić gałgany, spekulanci angielscy przestaną myśleć o profanacji piramid, gdyż zapewne powijaki mumji, przy policzeniu kosztów ich wydobycia, transportu, kosztowałyby zbyt drogo.

Józef Niepowie.

Korrespondencja od Redakcji.—*Panu J. H. w Warszawie.* Opis rozmaitych porządków architektonicznych, znajdziesz pan w dziele Henryka Markoniego pod tytułem: *O porządkach architektonicznych.* Warszawa, 1837 rok.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.